№ 46.

Warszawa, dnia 12 Listopada 1864 r.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).—**W Cesarstwie i Królestwie**, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.—**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki**, prosimy adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie, ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

ELŻBIETA ŁUCJA Z GOSTOMSKICH SIENIAWSKA

PRZEZ

Kazimierza Władysława Wójcickiego.

Żył za czasów Zygmunta Augusta, Mazurskiego rodu Anzelm Gostomski, znany dobrze temu królowi, bo na dworze jego ojca, spędził lata młodzieńcze. W obywatelskim gronie dał się chlubnie poznać jako Starosta Rawski, w r. 1568 mianowany Kasztelanem Płockim a w r. 1572 Wojewodą Rawskim. Po trzykroć ponawiał związki małżeńskie: z dwóch piérwszych miał 12 synów, z trzeciéj tylko jedną córkę Elżbietę Łucję, o któréj zamierzyliśmy mówić, jako matronie, co wiele dziwnych przygód życia przeszedłszy, stała się podziwem całéj Polski, i przedmiotem dla współczesnych do podania jéj pamięci wpotomne czasy.

Pan Wojewoda, oprócz zdrowéj rady którą służył ojczyznie i tronowi, słynął jako znakomity gospodarz: księgę którą ułożył o *Gospodarstwie*, przepisywano sobie starannie. Zmarł w r. 1587 przeżywszy ośmdziesiąt lat wieku, a dzieło zostawione w rękopiśmie, ogłosił drukiem w rok później sławny doktór Wojciech Oczko. *)

Pozostawił wdową Zofiję z Szczawińskich, trzecią swoją małżonkę i jedynaczkę Elżbietę. Matka staranne i pobożne dała jéj wychowanie, a dziewi-

---

*) Praca ta Gostomskiego wydana przez Oczkę p. n. *Gospodarstwo* Kraków 1588 (w kraju ark. str. 167) miała kilka edycyi 1606 a w r. 1644 pod zmienionym tytułem wyszła: „*Ekonomia albo gospodarstwo ziemiańskie dla porządnego sprawowania ludziom politycznym dziwnie użyteczna.*“ Podług téj edycyi przedrukował ją K. Wł. Wójcicki *w Bibliotece starożytnéj pisarzy polskich.* T. 3. Jan Radwański ogłosił ostatni przedruk w Krakowie 1856 r. p. n. *Notaty gospodarskie.*

(Przypis. Redakcji.)

ca w trzynastym roku życia zachwycała wszystkich co ją poznali tak dziwnie uroczą urodą, jak dojrzałym rozsądkiem i wykształceniem.

Sąsiednia młodzież niebyła obojętną na wdzięki Wojewodzianki, do których łączyło się bogate wiano: część po ojcu, i cały posag matki z domu Kasztelanki Sochaczewskiéj.

Z pomiędzy Rawiczanów, wielbiących z daleka, młodziuchną dziewicę, znalazł się jeden zuchwalszy, który postanowił ją porwać z domu.

Ostrzeżono o tym zamiarze matkę, która co rychléj przygotowawszy odpowiednią córce swéj wyprawę, postanowiła odwieść ją na dwór królowéj Anny Jagiellonki wdowy po Stefanie Batorym, zamieszkałéj w Warszawie.

Ale wielbiciel Wojewodzianki Elżbiety niezasypiał sprawy, dowiedziawszy się o wszystkiém, jakkolwiek we dworze Wojewodziny Gostomskiéj, starano się wyjazd ten pokryć tajemnicą: zebrał kilkadziesiąt konnych i zbrojnych przyjaciół i krewniaków swoich, robiąc zasadzkę na gościńcu, którym matka z córką, miały przejeżdżać.

W szczupłym orszaku dworzan, wyruszyła Wojewodzina z Elżbietą, niewiedząc jakie jéj grozi niebezpieczeństwo na drodze. Po ujechaniu kilku mil spokojnie, że to była godzina, w któréj zwykła mszy świętéj słuchać, usłyszawszy dzwon z kościołka wiejskiego w pobliżu, kazała zwrócić kolasę, i z całym dworem zjechawszy na boczną drogę, stanęła przed cmentarzykiem.

Właśnie proboszcz miejscowy szedł na nabożeństwo, powitał dostojnych gości i zaprosił po mszy świętéj na plebanję.

Po serdeczném, gościnném przyjęciu stosownie do rady tego kapłana, już niezwracano się na główny gościniec, ale bliższą drogą jadąc, ominęli szczęśliwie zasadzkę.

Tym czasem gromada zbrojnych jezdzców daremnie oczekując do południa, wysłała na zwiady do dworu Wojewodziny. Wrócili wysłańcy z doniesieniem, że równo ze świtem Wojewodzina z córką wyjechały prosto gościńcem. Rawiczanin i drużyna jego druchów, potracili głowy. Rzucili się na gościniec, pędząc ze trzy mile zhasali konie, i żadnego śladu nieznaleźli, gdy nasze podróżne, dojeżdżały swobodnie pod mury Warszawy.

Królowa Anna Jagiellonka córka Zygmunta I, Siostra Zygmunta Augusta, otoczona czcią całego narodu, jako jedyna pozostała latorośl bujnego szczepu Jagiełły, mile i wdzięcznie powitała Wojewodzinę Gostomską z córką, chętnie młodą dziewicę przyjmując na dwór i opiekę.

Dwór królowéj wdowy, miał liczny jak wówczas z niemiecka nazywano *Fraucymer* czyli *panny respektowe.* Najznakomitsze w Rzeczypospolitéj domy panów i zamożnéj szlachty, ubiegały się jako o zaszczyt, ażeby córki ich, znalazły na tym dworze pomieszczenie.

Królowa, rozciągała rodzicielską opiekę nad swymi wychowankami: zarówno, troszcząc się o ich wykształcenie i naukę, jak o wpojenie moralnych zasad i pobożności.

Piękną, potulną i łagodną, anielskiéj dobroci, Elżbietę Gostomską, otoczyła matczyną miłością dostojna królowa. Widząc ją modlącą się z całym przejęciem religijnego uczucia, coraz się więcéj do niéj przywiązywała. Kiedy zachorowała, królowa nietylko że po kilkakroć dziennie ją nawiedzała, ale siedząc przy jéj łóżeczku, sama podawała lekarstwo, i pokarmy.

Wdzięczna Elżbieta, kochała ją jak swoją rodzicielkę.

Panowie polscy, odwiedzali często dwór królowéj Anny, i robili starania o pojęcia w małżeński związek jéj wychowanek. Dostojna opiekunka, chętnie przyjmowała takich zalotników, pomagała do usunięcia trudności jeżeli zachodziły jakie ze strony rodziców panny, lub jéj krewnych i opiekunów: sieroty których liczną drużynę miała na swym dworze, zaopatrywała w wyprawę i posag.

W końcu drugiego roku pobytu na dworze królowéj Anny, Elżbiety Gostomskiéj, pojawił się na nim *Prokop Sieniawski* podczaszy natenczas koronny, a późniéj Marszałek wielki koronny. Niemógł być obojętnym na jéj urocze wdzięki: jakoż po kilku odwiedzinach, oświadczył się o rękę Wojewodzianki.

W sile wieku męzkiego, dorodny, i znakomitego imienia podczaszy, równie jak niemałéj fortuny nie był zalotnikiem do odrzucenia. Jeden tylko zarzut ciężył na nim, że porzucił kościół katolicki i był jak w owe czasy zwano *heretykiem.*

Królowa wdzięcznie przyjęła jego oświadczyny, sama pobożna i gorliwa katoliczka, zachowała szlachetną brata swego Zygmunta Augusta wyrozumiałość i tolerancją w rzeczach religijnych. Uwiadomiła matkę o zamiarach podczaszego, a gdy Wojewodzina, zdała los przyszły córki w ręce królowéj, ta odwołała się wtedy do postanowienia Elżbiety.

Młoda dziewica oświadczyła że jeżeli królowa wybór ten pochwala, chętnie odda swą rękę podczaszemu Sieniawskiemu. Wkrótce uszczęśliwiony zalotnik sute i wspaniałe gody weselne odprawił, właśnie bowiem, otrzymał nowe dostojeństwo bo laskę marszałka nadwornego.

Był to mąż pełen rozumu i cnoty surowéj, szanowany powszechnie. W piérwszych latach mło-

dości zwiedził Niemcy, Szwajcaryję, Włochy i Niderlandy, gdzie ćwiczył się w rycerskiém rzemiośle. Za powrotem do kraju, jako dworzanin króla Zygmunta Augusta rozpoczął zawód służby publicznéj. Pan rozległych dóbr na kresach, musiał ciągle się niemal ucierać z najezdniczą hordą tatarów. Ztąd miał zawsze w pogotowiu zbrojny pułk kopijników i kozaków, z którym, w tę porę, zwłaszcza, gdy tatarzy zwykli puszczać swe zagony do Polski, jak na łowy dzikiego zwierza, wyruszał. Uderzał, rozbijał, łupy unoszone wydzierał, nieraz uganiał się za nimi aż do Krymu, a zawsze zwycięzcą wracał. Siły był tak olbrzymiéj, że w oczach króla Zygmunta III, jednym cięciem szabli łeb uciął wołowi, karetę w uprzęgu sześciokonnym w biegu, ująwszy jedną ręką za koło, wstrzymywał, w dokazywaniu takiém zerwał się i długo w Krakowie chorował. Na kilka dni przed śmiercią, kazał sobie podać zwierciadło, w obecności swéj małżonki która czuwała przy jego łożu.

Słynny z pięknéj urody, widząc się do niepoznania zmienionym, sam sobie nie dowierzał, czy własne oblicze ogląda. Przekonany wreszcie o smutnéj prawdzie, westchnąwszy boleśnie, wyrzekł, trzymając za rękę ukochaną małżonkę, i patrząc na jéj urocze wdzięki w pełnym rozkwicie młodéj bo dwudziesto trzyletniéj niewiasty, smutnie przemówił:

„Czemże jesteś piękność ciała? Oto ziemią, śniegiem pod którym śmieci ukryte, kwiatem, pod którym gnieżdżą się węże i żaby.“

Umarł w r. 1596 zwłoki wdowa stosownie do życzenia jego, złożyła we Lwowie u Dominikanów.

Żyła z nim Elżbieta tylko lat sześć i była matką trzech córek Zofii, Anny, Elżbiety i syna Jarosza.

Nie skończyła jeszcze żałoby, gdy grono liczne zalotników zaczęło nawiedzać dwór młodéj, pięknéj i bogatéj wdowy. Prawa gościnności staropolskiéj niedozwalały zamykać podwoi domu. W pośród gromadnéj ich drużyny odznaczał się książe Janusz Ostrogski Kasztelan Krakowski, ale Elżbieta, gdy zażądał jéj ręki wręcz odmówiła, tak jak innym, że postanowienie jéj nieodmienne, przetrwać do śmierci we wdowieńskim stanie. Umarła jéj matka, okazały pogrzeb zwłok jéj w Płocku u O. O. Dominikanów sprawiła. Liczne grono zebranych hojnie podejmowała przez dni kilka, a każdy ubogi otrzymał po czerwonym złotym. Śmierć ukochanéj matki, głębokim smutkiem napełniła jéj serce, i utwierdziła w postanowieniu życia poświęconego jedynie modlitwie i pobożnym uczynkom.

Za powrotem z Płocka do dworu swego, w *Luka*, zastała jednego z panów możnych w dostatek i znaczenie, który uporczywie dobijał się o jéj rękę. Orszak jego składał się z sześciuset krewniaków, przyjaciół i domowników, a każdy zbrojny, i gotowy na jego skinienie.

Marszałkowa, zrozumiała jego zamiary i swoje niebezpieczeństwo: co rychléj wydała rozkazy, i zebrała o ile mogła przyjaciół, sąsiadów, a niepokazując żadnéj obawy, zaprosiła do stołu i hojnie a gościnnie podejmowała.

Zagrzany winem starym, pan ów z mnéj się przyzwoitą odezwał mową, przytaczając jakąś bajeczkę, obruszona Elżbieta, powstawszy z miejsca, rzekła zniemałym wzruszeniem.

— Ja nie bajkę Waszmości powiem, ale rzecz prawdziwą, na którą oczy moje patrzały. Jeden zuchwały, porwał gwałtem wdowę, za co mu w Warszawie głowę ucięto.

I to powiedziawszy, spiesznie odeszła do swéj komnaty. Tu, dawszy swoim polecenie, aby wszyscy w pogotowiu byli do odporu, na piérwsze jéj skinienie. Sama puginał za pas zatknąwszy, z nabitym sztucceem myśliwskim w ręku, oczekiwała co los zdarzy.

Ale ów dumny i zarozumiały pan, widząc, że musiałby użyć gwałtu, i rozlewu krwi, bo salę jadalną i komnaty boczne, zbrojni przyjaciele, sąsiedzi i domownicy marszałkowéj obsadzili, bez pożegnania, cicho i ze wstydem wraz z liczną swoją czeredą, opuścił dworzec Luki.

Swobodna już teraz od zalotników poświęciła życie swoje Bogu i bliźnim. Kiedy wybuchł rokosz Zebrzydowskiego za Zygmunta III, oddzielne postanowiła nabożeństwo, które odprawiała z dziećmi swymi i domownikami, prosząc Boga o pokój w ojczyznie. Podług zwyczaju owego wieku, trapiła nadobne ciało, przyjętemi naówczas *praktykami*, aby je na wodzy duszy utrzymać. Nie sypiała więcéj nad cztery godzin, łożem jéj były deski lub ziemia bez żadnego usłania, cztery razy na tydzień, siekła się do krwi dyscyplinami: aby zaprawić się do wytrzymania boleści, gorący roztopiony wosk ze świécy na ręce kroplami zlewała, surowe przy tém posty zachowując. Wielbicielka muzyki, trzymając nadworną kapelę, poświęconą jedynie służbie Bożéj, unikała zgromadzeń światowych, zabaw i wesel, gdzieby widziéć mogła tańce i usłyszéć melodję ochoczą i radosną.

Brat marszałkowéj rodzony, Wojewoda Poznański, mieszkał w Osieku, a dowiedziawszy się że córki swe przeznaczyła do zakonu, kiedy w przejeździe do Częstochowy, przybyła do niego, przy-

jął ją w licznym gronie dostojnych osób, i przy wspaniałéj uczcie, rozkazał zagrać kapeli.

Marszałkowa, na odgłos jéj zalała się łzami. Wojewoda prosi ażeby była rada w jego domu.

— Będę rada w domu braterskim (odrzekła) ale niech muzyka ustanie. Więc prosił i nalegał, ażeby sama odeszła, niechcąc psuć ochoty gościom swoim, a córki zostawiła. Marszałkowa nieprzystała na to. Po gorących prożbach, Wojewoda wybuchnął gniewem i zagroził że niedopuści ażeby jego siostrzenice zamknięte zostały w murach klasztornych. Ale córki padły do nóg Wuja swego prosząc, aby gniew zatamował, a był przekonany, że życie zakonne jest ich powołaniem prawdziwym. Ochłonąwszy Wojewoda z uniesienia, przekonany o prawdzie słów ich, przepraszając siostrę, mówił:

— „Już widzę moje siostrzenice, że z nienamowy to czynicie, ale z cnoty; dla tego już ani matce waszéj ani wam więcéj w tym przykrzyć nie będę“

Utraciwszy syna jedynego Jarosza i córkę Annę, dwie pozostałe odwiozła do Chełmna do zakonu, gdzie młodsza Elżbieta w kilkanaście dni zakończyła życie, a jedyna Zofja przywdziała zakonne suknie.

W roku 1617 tatarzy napadłszy *Pokucie*, położyli się koszem w pobliżu Luki, gdzie stale mieszkała. Uchodząc przed strasznym jassyrem, z gronem niewiast i dwoma zakonnikami, uszła za Dniestr, i na małéj wysepce, otoczonéj błotami szukała uchrony. Ale tatarzy wyśledzili to ustronie, i tak znienacka napadli, że zajętą gorącą modlitwą jeden z pogan porwał, a niemogąc osadzić na koniu, dobył szabli, pragnąc ściąć, ale chybiwszy wymierzył cios śmiertelny w piersi, wszakże i ten zamach niedotknął jéj ciała.

Marszałkowa w przestrachu rzuciła się w rzekę, wołając „Święty Michale ratuj mnie!“

A właśnie chłopek Michał był z czółnem w pobliżu, słysząc swoje imię, nadpłynął, uratował, i w wiklinach przybrzeżnych ukrył przed bystrym okiem pohańców. Gdy zagony tatarskie opuściły tę okolicę, przywiózł Marszałkowę do Luki, hojnie uposażony z rodziną swoją.

Czuwała troskliwie nad swobodą i dobrym mieniem swoich kmiotków. Wdowa, sierota, wioskowa miały w niéj opiekunkę czułą i dobrodziéjkę. Kiedy żołnierze zawiązani w konfederacje, zaczęli nęcić się nad jéj ludem, mając do 800 zbrojnych na zawołanie, siłą wygnała rabusiów, i zabezpieczyła wsie od ich łupieży. W dworze swoim do ośmdziesiąt chowała ubogich sierot: uczyły się szyć i haftować przybory kościelne, wychowując pobożnie i moralnie. Stosownie do powołania każdéj, oddawała na zakonnicę, lub wydawała za mąż, dając każdéj wyprawę i posag. Przez ciąg pobytu ich w jéj dworze, czuwała sama, nad ich ubraniem, zarówno jak pracą i prowadzeniem, z czułością macierzyńską.

Dwór jéj cały był jako klasztor, i niecnota utaić się w nim nie mogła.

Zapadłszy w śmiertelną niemoc, i przeczuwając blizki koniec życia, wyjechała do wioski *Gór* pod Sandomierz gdzie była obecną, poświęceniu na ksienią, córki swéj Zofii.

Ta widząc cierpienia matki, i jak gaśnie powoli, ciężkim zawodziła płaczem. Ale pełna spokoju marszałkowa, słabym a rzewnym głosem do niéj przemówiła.

— „Miła Panno! Cóż płaczesz, jużeści mię dawno opuściła, nieżałuj tego, coś panu Boga oddała, niech się wola Boża ze mną dzieje. On, który jest ojcem i matką twoją, nigdy nie umiéra, ten niech będzie pociechą twoją.“

Wyjechała z *Gór*, dążąc do Lublina ażeby w tym mieście znaleść ratunek lekarski. Odprowadzała ją córka Zofja Ksieni Benedyktynek Sandomierskich; we wsi *Radawcu*, wsiadając do karety na ręku jéj Bogu ducha oddała, w końcu Września, bo w dniu Ś-go Mateusza Apostoła, 1624 r. Żyła lat 51, w stanie wdowieństwa przeszło lat 28. Zwłoki jéj pochowane zostały w kościele Lwowskim przy Kolegjum Jezuickim które fundowała; „gdzie ciało (mówi Niesiecki) i po dziś dzień gdy to piszę (r. 1738) całe, nieskażone, lekkie znajduje się. Bóg znać w nadgrodę jéj zasług, już to przez sto i dziesięć lat konserwuje.“

Jak hojną była dla sierot i ubóstwa, niemniéj szczodrobliwą była dla kościoła. W Sandomierzu, po pogorzeli, pannom Benedyktynkom, fundowała klasztor, gdzie jéj córka była ksienią, zarówno jak Kollegjum dla Jezuitów we Lwowie, w Rawie, w miejscu bożnicy żydowskiéj kościół wzniosła, i probostwo dostatnio uposażyła.

Skromna w ubraniu, uie lubiła strojów bogatych: mąż przymawiał jéj nieraz oto, czyniąc woli jego zadosyć, sześć razy, wystąpiła ubrana podług mody, a w tedy nowym jéj piękność zajaśniała blaskiem. Pochlebiało by to każdéj innéj równie dorodnéj jak młodéj niewieście, marszałkowa przeciwnie zapadała wówczas w widoczny smutek. Z radością zrzucała strój kosztowny, i całą swobodę uczuwała wtedy gdy przywdziała swe zwyczajne szaty.

Przeszła drogę życia, jak anioł miłości, pokory i miłosierdzia. *)

---

* * *

Kto w dzień *Zaduszny* nie odwiedził Powązek, i niewidział licznych tłumów Warszawiaków, płynących ku nim gęstym strumieniem, ten nigdy nie nabierze wyobrażenia o ruchu jakim nagle ożywia się Warszawa, i o nabożnéj czci z jaką święci dzień, pamięci zmarłych poświęcony. Jest to jednak ruch cichy, poważny, przerywany tylko łkaniem boleśnego wspomnienia, i szmerem modlitwy korzącéj się duszy w rozpamiętywaniu swego nicestwa. Dla ludzi wielkich we własném przekonaniu, babrających się w kałuży zabiegów o pieniądz, dobrze że choć dzień jeden w roku, poświęcony jest przypomnieniu, że jako proch z prochu powstały, w proch się obrócą i gnani przekleństwem, rozwieją się po obszarze ziemskim na radość wielu a pociechę wszystkich. Życząc im jak najprędszego spełnienia obietnicy acz niemiłéj lecz prawdziwéj, opuszczam smętne zacisze Powązkowskiego cmentarza, aby pogwarzyć o żywych, często za życia jeszcze umarłych sercem i butwiejących duszą.

Cierpkie te wyrażenia, przyjmijcie jako wypływ smętnych dumań zadusznego obchodu: świat wprawdzie zły, djabelstwem w skroś przesiąknięty, ale tam w głębiach duszy, w pokornéj ciszy, w pobożném zamknięciu się, tleją święte iskierki, które rozdmuchane wytrawią złe i świat cały obleją światłem wiekuistéj prawdy. Gdyby tylko raz zrozumiano, że sobkostwo jest dowodem nie tyle złości jak poprostu powiedziawszy, głupstwa ludzkiego, świat w prędce inną przybrałby postać. Ale każdy płynie własną dróżką, spychając wszystko co zawadza, i sam wreszcie zepchnięty, miota piorunami na zatwardziałość i nieczułość świata. Temat to niezmiernie obszerny, na tomową przynajmniéj rozprawę, opuszczam więc go z żalem, ale dam Wam mały obrazek, z którego poznacie choć troszeczkę jak kwestję tak ważną pojmuję.

---

*) Życie jéj szczegółowo opisał X. *Susliga* Jezuita, i wydał w r. 1628, Niesiecki treść skróconą podał z téj pracy w swoim herbarzu, z którego wypisał X. Florjan Jaroszewicz i przepisał w dziele p. n. „*Matka świętych polskich.*“ Kraków 1767 r.

Według gazeciarskich doniesień, domy gry w Wiesbaden i Ems, przyniosły tego lata czystego dochodu przeszło pół trzecia miljona złotych polskich. Przytém w samych rozbójniczych jaskiniach, strzeliło sobie w łeb z rozpaczy osób 25, a po za niemi 34, razem więc popełniło samobójstw osób 59. Wprawdzie pozbawienie społeczności podobnych niedołęgów, stawiających życie na kartę przypadku, żadnego jéj nie przyniósł uszczerbku, ale tak znakomita koncentracja kapitałów przy zielonych stolikach, którego małą, zapewne cząstkę stanowi przez głównych szulerów otrzymana korzyść, już jest stratą niepowetowaną. Dodajmy do tego wpływ pośredni z tego, marnotrawstwo czasu, zdolności w zajęciu tak brudném i hańbiącém, rozszerzanie złym przykładem zepsucia, a pojmiemy łatwo ile ludzkość traci cierpiąc w pośród niemiec sławiących się cywilizacją, to cuchnące gniazdo zepsucia i trucizny. Że zaś ludzkość jest zbiorem jednostek, straty więc jéj i cierpienia, rozdzielają się pomiędzy nas wszystkich, i idą w stosunku odwrotnym położenia socjalnego, czyli, że im kto uboższy głową i kieszenią tym więcéj ulega następstwom wszelkiéj niegodziwości. Marnotrawstwo kapitału w domach gry, jest zaledwie jednym z tysiąca grzechów ludzkości, wpływy więc szkodliwe wszystkich tych grzechów zebrane w massę, cóż dziwnego że każdemu porządnie dają się we znaki, kłują, sieką, dokuczają, wydobywając jęk i łkanie z rozbolałéj piersi. Gdyby owe półtrzecia miljona złotych wyrzucane corocznie przez wszystkie narodowości na pastwę dla kilkunastu spekulantów, obracane były na utrzymanie szkoły i stypendystów, społeczność europejska corocznie uszlachetniałaby się przyjęciem do swego grona nowych dwustu obywateli i tyleż obywatelek, wykształconych, miłujących się i przynoszących krajowi pożyteczną pracę. Korzyści z tego nieobliczone, i lat sto dałoby to w zysku ludzkości, do czego dąży od osiemnastu wieków, zaścielając ziemię strugami krwi i krociami trupów. Wrodzone samolubstwo i... płytkość myśli, jedynemi do tego zawadami, jaki zaś siéw taki plon, kilku więc bogaci się, kilkudziesięciu w łeb strzela, kilkuset rujnuje, a kilka lub kilkanaście tysięcy w płaczu i bólu odrywa od ust ostatni kęs chleba, aby go oddać nikczemnikom na pastwę podłéj namiętności.

Do jaskiń tych i od nas płynie grosz krwawo i ciężko wydobyty, powiedźcie więc wszystkim co karmią nim niegodziwych spekulantów, że każda czynność szkodę ogółowi przynosząca, jest nikczemnością.

Kurjer Warszawski ogłosił bardzo pocieszającą

wiadomość, że jedna z amatorek malarstwa, ma założyć fotografję w Warszawie, z posługą samych tylko kobiét. Myśl to niezmiernie szczęśliwa, i aby do wykonania jéj zabrano się z dokładną znajomością rzeczy, jestem niemal pewny jak najświetniejszego powodzenia. Dla biédnych zatém panienek otwiera się nowe pole pracy, któréj brak jakoś coraz bardziéj czuć się daje. W Paryżu niedawno na wykładach bezpłatnych w Sorbonie, ekonomista Jules Simon, mówił o stowarzyszeniach wyrobniczych. Była to improwizacja pełna ognia, wymowy, tryskająca brylantami serca i elektryzująca słuchaczy aż do uniesienia. Profesor przedewszystkiém określił ważność instytucji, za pomocą których, przy pracy, porządku i oszczędności, lud dochodzi do ostatecznego celu czynności społecznéj, do własności. Gdzie tylko zawiązały się takie stowarzyszenia wszędzie spowodowały materjalne i moralne ulepszenie doli wyrobników, rozwinęły w nich poczucie obowiązku, braterstwa i zabezpieczyły byt na lata niemocy, inwalidów pracy.

Nie myślcie mówił Simon, że do tego potrzeba wielkich wysileń; aby dojść do podobnych korzyści, potrzeba tylko silnéj woli, co wszystkie przeszkody łamie, kruszy i zwycięża. Cztery centymy dziennie (jak dzisiaj około półtrzecia gr. pol.) składane przez każdego stowarzyszonego, to nic nie znaczy, a to rzecz ogromna! W Anglji takie ujęcie codziennie czterech centymów, zrodziło stowarzyszenie, które w lat kilka liczy miljony. Gdyby u nas podobne stowarzyszenie mogło się zawiązać dla biédnych panienek, kraj aż uśmiechnąłby się z radości, patrząc na te kwiatki połączone jednym węzłem pracy, starania i skromności.

Doktór Józef Wszebor wywzajemniając się za wiersz dla niego ofiarowany, pomieszczony w jednym z numerów Tygodnika, przysłał do Redakcji egzemplarz rozprawy swéj inauguralnéj wraz z listem do autorki wiersza Liljany, z prożbą, aby przyjęła go jako hołd pełen uszanowania szczeréj i niezmiennéj wdzięczności. Dziełko i list za zgłoszeniem wydane zostaną bezwłocznie, lub prześlemy je na żądanie pocztą, za poprzedniém przysłaniem dokładnego adresu.

Nowości muzyczne.

Kwartet smyczkowy w salonie pana Brukalskiego.

Mieliśmy sposobność słyszéć rzecz bardzo ciekawą dla naszego świata muzykalnego a niesłychanie pożądaną dla znawców i amatorów muzyki klasycznéj. Dnia 1 Listopada rozpoczęty został szereg posiedzeń muzyczuych, w salonie przy ulicy Długiéj składający się z wyborowych sztuk Mozarta, Beethowena i Mendelsohna. Piérwsze skrzypce grał p. Anger znany skrzypek i nauczyciel, drugie p. Stelmach, altówkę piérwszą p. Nowak, drugą p. Myszkowski, a wielonczellę p. Gebelt. Wszyscy ci artyści znani są ze swéj gry w orkiestrze teatralnéj, ale publiczność nie miała jeszcze sposobności ocenić ich, w tego rodzaju muzyce jak kwarteta, kwinteta i t. d. Jeżeli więc zbiorowa muzyka ma tak sumiennych przedstawicieli zarówno dobrze grających jak pojmujących myśli twórcy, jakże mają pójść źle takie arcydzieła z jakich się składał piérwszy ten poranek muzyczny? Wszyscy trzéj mistrze następowali po sobie chronologicznie, ale słuchając nie wiadomo było któremu z nich należało oddać palmę piérwszeństwa? Każdy w swoim rodzaju wielki potężny, każdego choćby sto razy można słuchać z jedną zawsze rozkoszą, zachwytem i uwielbieniem dziwnie pięknych myśli. Kwintet Mozarta odrazu porwał dusze słuchaczy nawet słyszących go raz piérwszy. W kwartecie Beethowena podziwiano wyborne cieniowanie i wyrazistość każdego ustępu. Koroną jednak tego poranku był kwintet Mendelsohna. Piérwsza część Allegro vivace, pomimo niesłychanie szybkiego tempa utrudzającego bardzo wyrobienie różnych figurek, zagrana była z takim ogniem i dokładnością, że żadna najmniejsza nie chybiła nutka i każda wybiegała jasna, okrągła jak perełka Był to tryumf pracy i wyrobionego mechanizmu. W Andante scherzoso myśl prosta przewodniczy od początku do końca, przerabiana w rozmaite kształty sposobem imitacyjnym. Najcudniejszą przecież częścią tego kwintetu jest Adagio e Lento w tonie D. miękkie. Tak wielkie myśli a tak cudownie obrobione, wrażliwe, jak np. po tremolando gdy śpiew piérwszym skrzypcom powierzony, lub gdy inne instrumenta prowadzą śpiew akordami a piérwsze skrzypce wyrabiają trzy razy wiązane figury, niby pyszne freski! Wrażenie téż było wielkie, oklaski posypały się podnosząc się po dwakroć z uczuciem szczerego uwielbienia. Miłośnicy muzyki wyższéj, grającym Artystom składają serdeczne podziękowanie tak za myśl urządzenia poranku jak i za dokładność wykonania. Korzyść dla ogółu z zapoznawania się z podobnemi arcydziełami nie wątpliwa, idźmy tylko daléj tą drogą a wprędce ujrzémy następstwa zadawalniające. Teraz słówko o publiczności. Publiczność słuchająca była taką, o jakiéj tylko można marzyć, a nie spodziewać się urzeczywistnienia. Siedziała cicho, spokojnie, podczas gry nie kręciła się, nie rozmawiała, nie szastała a co najważniejsza przed zakończeniem z rumotem nie powstała, aby co prędzéj dorwać się do schodow i wypaść na ulicę. Pilną uwagę, grzeczność i przyzwoitość pusunęła nawet do tego stopnia, że w czasie pianissima, z pewnością możnaby było usłyszéć brzęk muchy, gdyby Listopad nie stanął temu na przesz-

kodzie. Dla takiéj publiczności warto grać, ale jakże rzadko z podobną spotkać się można!

Adolf Bogucki.

NIESKOŃCZONOŚĆ.

Wirem wieków ludzkość gnana,
I z żałobą i z weselem
Pędzi, lotem w siłach rwana
Z ciągłą żądzą, z ciągłym celem.

Już jéj błyska koniec biegu,
Już chce spocząć w swéj podróży,
Ledwie ujrzy cel na brzegu
Dąży znowu w gromy burzy.

Nawałnicą wodospadu,
Co po skałach toczy wały,
Wśród dzikiego świata ładu,
Krąg obiega okazały.

Pomięszane złoto z nędzą
Żywych serca, trupów kości,
Lecą, dążą, biegną, pędzą,
I wpadają do... nicości.

Ale za nią kolos szczytu,
Nieskończoność jego miano,
Liczy groby z nad błękitu,
Potęguje ludzkość gnaną.

A ta burzy się i pieni,
Wciąż słuchając żądzy głosu,
Niewie o tém że ją zmieni,
Za nicością szczyt kolosu.

Tam upadną wszystkie cele,
Niepojętość je osączy,
I żałoba i wesele,
W jednéj chwili się zakończy.

Nieskończoność niepojęta!
Mały urok — wielkie słowo!
Woła ludzkość — i w swe pęta,
Znowu rzuca się na nowo.

Zaślepieni stójcie w pędzie!
Uginając kornie czoło,
Zatrzymajcie się w obłędzie,
Bo rozpęknie lotne koło!

Nieskończoność was pochłonie,
Gdzie bez wiedzy każdy dąży,
I martwiejąc w czczéj mamonie,
W strupieszałym świecie krąży.

Nieskończoność życia chwilką!
Jeden okrzyk przestrzeń porze—
Precz z bluźnierstwem! — Nią jest tylko,
Ten, co nicość stworzyć może.

9 Październik 1864 r.

Felix Schober.

Korrespondencja z Paryża.

Paryż dnia 4 Listopada 1864 r.

W zeszłém sprawozdaniu naszém wspomnieliśmy pobieżnie o wyrobach wełnianych na suknie, z magazynu pana Pękali (dawniéj Ksawerego Szlenkera), dziś powiémy więcéj w tym przedmiocie. Z pomiędzy nich uważaliśmy piękną popelinę w grube prążki, przerabianą jedwabiem, w kolorach: szafirowym, fijołkowym, brązowym, hawanna i popielatym, Inny wyrób czysto wełniany w podłużne prążki zwany *Draps* de laine, zasługuje również na uwagę. Zaleca się lekkością i może zarówno służyć na suknie, jak i na okrycia do futra. Na ten ostatni cel, zalecamy zawsze kolor czarny jako najtrwalszy i nieulegający spłowieniu.

Inny wyrób na suknie zwany *draps Sablé,* ma prążki ukośne w blizkich odstępach, po wierzchu zaś posiane punkciki z białego lub kolorowego jedwabiu. Wyrób ten należy do lżejszych, i najwłaściwszy jest na sukienki dla młodych panienek. Łokieć kosztuje złp. 6 gr. 20, szerokość wynosi $5^1/_2$ ćwierci.

Piękne są także wyroby wełniane mięszane z jedwabiem w podłużne pasy atłasowe. Uważaliśmy niektóre w trzech lub czterech odcieniach tegoż samego koloru, i te najwięcéj nam się podobały. Inne znów przerabiają w czarne jedwabne pasy Suknia taka nie ustępuje pięknością jedwabnéj. Śliczna jest także tkanina zwana *Etincelle* po złp. 9 łokieć, *Satin impériale* po złp. 10 *Perlé* po złp. 8 i doskonały wyrób na zimowe *lindsay* po złp. 7.

Do mniejszego ubrania, zalecamy wyrób z ostréj wełny, w rodzaju rypsu, w podłużne pasy czarne, na tle brązowym lub fijołkowym, szerokie na palec. Ryps ten nie ulega zgnieceniu i bardzo świeżo wygląda. Zwróciła też uwagę naszą, podobna tkanina, na czarném tle, przerabiana w cien-

kie bardzo paseczki różno kolorowe, dawane w niejakich odstępach.

Do wyjścia na ulicę najwłaściwsza nam się wydaje popelina i ryps w różnych odcieniach brązowych, którego pan Pękala sprowadził znaczny zapas. Taka suknia wycięta u dołu w zęby, naszyta kilka razy pletnią lub aksamitką czarną, stanowi wyborne ubranie na codzień, a przytém zaleca się wielką trwałością. Piękniejsze rypsy kolorowe, mają po sobie rzucik w kółka czarne lub jaśniejsze od tła, przerabiane jedwabiem. Widzieliśmy takie w kolorze fijołkowym, szafirowym, brązowym i popielatym.

Do najpraktyczniejszych i najtańszych wyrobów należy fular wełniany zwany *Cretonne*, drukowany, w cienkie paski czarne, na tle brązowym, fijołkowym i hawanna. Dostać go można łokieć od złp. 4. Uważaliśmy tenże sam wyrób, w drobny czarny rzucik. *Cretonne* w paski przedstawia jeszcze i tę korzyść że ponosiwszy taką suknię, można ją obrócić na spódniczkę, dodając do niéj stosowne u dołu naszycie.

Do tańszych materjałów na suknie należy jeszcze *Puebla, Alsen* i Tartany po złp. 5 jak również centkowany wyrób angielski Wool-Say po złp. 4 i *Say* po złp. 5 gr. 15.

Oprócz przedmiotów służących do ubrania pan Pękala sprowadził niekosztowne a piękne pokrycia na meble. Z tych ładny jest perkal w wielkie gałęzie i ptaki. Perkal ten różni się od zwykłych Persów, surowym i mięsistym gatunkiem. Najmodniejszy na tle ciemno błękitnym lub pąsowém, w deseń popielaty do cieniu.

W tymże magazynie znajduje się wielki dobór parasoli angielskich, na laskachnaturalnych z korzenia, bardzo wygodnych i mocnych, oraz Francuzkich ze składanemi laskami.

Opis ryciny.

Figura 1. Paletot *Favori* aksamitny czarny wcięty w stanie, obszyty wolantem gipiurowym, nad którym idzie bogata wstawka w medaljony. Rękawy wązkie, przybrane szeroką gipiurą tworzącą epolet, węższa gipiura dana wzdłuż rękawa. Zamiast kołnierza mały kapturek podbity atłasem. Suknia czarna jedwabna, naszyta u dołu koronką w grecki deseń, naszycie podniesione w górę z lewéj strony. Kapelusz aksamitny zielony, mały woalik obszyty grelotkami.—Figura 2. Długi kaftan zwany *Sylwia*, z sukienka jasnego, przybrany taśmą szmuklerską i guzikami. Przody tworzą wielką kamizelkę z kieszeniami po bokach; rękawy szerokie przybrane pasmanterją. Suknia czarna z *drap de Lyon* u dołu szeroka aksamitka naszyta w śpiczaste zęby. Od tych zębów do dołu spódnicy naszyta prostopadle wązka aksamitka z wypuszczonemi nad zęby pukielkami. Kapelusz aksamitny fijołkowy z pękiem piór strusich. — Figura 3. Okrycie strojne *Ofelia*, z atłasu białego, wygarnirowane koronką wełnianą *Yak*. Nad wolantem, dany szlak z piórek strusich. Fałdy w plecach przytwierdzone garnirunkiem z piór i koronki. Suknia tiulowa wygarnirowana w zęby ruszami z materji białéj. Ubranie głowy: diadem aksamitny z piórami.—Figura 4. Mały paletocik *Nemea* krótki i szeroki, z aksamitu czarnego, przybrany frendzlą Angora i pasmanterją. Wązka frendzelka dana na środku pleców, po obu stronach szwu. Rękawy obcisłe, na ramionach bogate epolety z pasmanterji, z długiemi sznurami i kwastami. Suknia popelinowa popielata. Kapelusz atłasowy szafirowy, przybrany aksamitem i koronką. — Figura 5. Paletot frakowy *Lansin* z aksamitu czarnego z szerokiemi połami, haftowanemi jedwabiem, w koło koronka Chantilly, po bokach ku tyłowi kieszenie. Rękawy ścięte do łokcia, cokolwiek otwarte i zaokrąglone u ręki. Suknia jedwabna czarna, przybrana fałdowaną falbanką w zęby; nad falbaną idzie także sama ruszka. Kapelusz naciągany z *poult de soie* koloru *lapis* na każdém ściągnięciu dany sznur pereł, kokarda z wązkiéj aksamitki zastępuje karczek.— Figura 6. *Polonezka* aksamitna do figury, rozcięta w trzech miejscach od dołu aż do stanu i przybrana wyłogami z gronostai, otwory przysznurowane pasmanterją z kwastami. Plecy oznaczone pletnią od któréj spadają z każdéj strony dwa kwasty. Rękawy wązkie z mankietem i epoletem z gronostai i pasmanterji. Suknia *poult de soie* czarna, u dołu szeroki wolant, fałdowany w odstępach i przybrany pasmanterją w arabeski. Kapelusz aksamitny z piórami i koronką. — Figura 7. Ubranie małéj dziewczynki. Paletocik *Topaz*, otwarty na przodzie, z sukienka, obszyty grelotkami, galonem kaszmirowym i rzędem guzików. Rękawki wązkie. Spódniczka z popeliny Szkockiéj naszyta nad obrębem trzy razy czarną aksamitką. Kaszkiecik *Jokey* aksamitny, przybrany piórkami.

SPROSTOWANIE.

W przeszłym numerze Tygodnika w korrespondencji na ostatniéj stronnicy odpowiedź dla pani Ma. Woro. w mylnéj osnowie podaną została. Brzmiéć powinna jak następuje:

W tym roku noszone będą salopy watowane z pelerynami lub gładkie krojem paltotowym.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka, oraz kalendarz ścienny na rok 1865.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 46 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 12 Listopada 1864 roku.

NA CMENTARZU, NA WULKANIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg.)

Dawne stosunki z większym światem, z ludźmi co ją byli opuścili, gdy osamotniała w ubóstwie, wróciły jéj jako opiekunce bogatéj dziedziczki, jako majętnéj znowu, bo zapisem znaczném méj matki, oswobodzonéj z zależności kobiecie. Pragnąc chciwie gwaru i tłumu nie zastanowiła się biédna, że ci co ją byli opuścili a teraz wracali, sami o swych uczuciach tém postępowaniem wydali świadectwo sromotne.

Wesołość ciotki raziła mnie zrazu, ale byłam dziecięciem, a po przetrwaniu piérwszego ciosu i jam żyć zapragnęła i mnie musiała zawrócić się głowa.

Do wyraźnie zapisanéj w testamencie woli zmarłéj matki mojéj, należało rozporządzenie dokończenia wychowania mego na wsi, nie mogła mnie więc Ciotka wywieść, jako pragnęła, do stolicy, ale ściągnęła powoli na zamek, wszystkie dawne znajomości swoje, które dostatki, swoboda i różne na przyszłość rachuby sprowadziły.

Czułam nie widząc że w koło mnie zaciągały się nici licznych intryg, które nie tyle mnie co mienie moje na celu miały... Byłabym może nieumiała się rozpoznać w śród tego zamętu, gdyby nie prosta, zacna, poczciwa niewiasta, piastunka moja, którą także wola matki na straży przy mnie postawiła. Ona mnie po cichu szeptała przestrogi, objaśnienia, ona tłumaczyła to położenie, które młodéj duszy zdawało się prawie nie do wiary dziwném. Między nią a Ciotką była odraza instynktowa, jaką mają zawsze dusze prawe dla ludzi nieczystych i zepsutych, szczęściem dla mnie Ciotka nie mogła oddalić piastunki... a ta mimo świetnych obietnic i groźb usunąć się odemnie nie chciała.

Pieszczona ale nieufna, bom serca w tych przymileniach nie czuła, dorastałam tak na zamku starym, który teraz nieustannie był odwiedzany przez nieznanych mi przed tém przyjaciół rodziny i krewnych. Ciotce ta rola opiekunki bardzo przypadała do smaku, była znowu panią, a rój pochlebców ją otaczał.

Umysł mój w tém położeniu dojrzał przed czasem, nauczyłam się inaczéj tłomaczyć miłość i zapewnienie przywiązania, pieszczoty i nadskakiwania niżelim nawykła, nieufném okiem poglądać na ludzi i w ich uczynkach szukać pobudek smutnych własnego interesu. Uczyniło mnie to za wczasu rozczarowaną i poważną, co się Ciotce roztrzepanéj, wesołéj, płochéj, niepodobało wcale.

Byłam jeszcze na pół dziecięciem ledwie wychodzącém z wyrostka, gdy na zamku zjawił się ten człowiek, ta poczwara, która mi miała zatruć życie całe...

Chociaż hrabina wymówiła ostatnie wyrazy po cichu, głosem drżącym, Hrabia Żywski dosyć uważnie słuchający opowiadania, drgnął na nie i ruchem żywym dał znać, przestrzegł że jest przytomnym. Ruch ten obalił część przyrządu podwieczorkowego, narobił hałasu wiele, ale hrabina wcale nań zdawała się nie zwracać uwagi.

— Państwo nie znajdujecie, odezwał się hr. Zygmunt, że hrabina zbytecznie się męczy tak długiém opowiadaniem? Obraz który nam kréśli, jest niezawodnie wielce zajmującym, pełnym trafności, ale rozmiary jego czy nie są nazbyt wielkie, do czasu i miejsca... Co do mnie przyznam się, że wolałbym świéższém, wonniejszém odetchnąć powietrzem i znijść w doliny... a państwo...?

Pytanie na jakiś czas zostało bez odpowiedzi, wszyscy spojrzeli po sobie.

— Jeżeli nam hrabina zapewni, przerwał Vice-Hrabia, że nie straciémy dalszego ciągu powieści, gotowibyśmy się zgodzić na znijście do weselszéj pustelni, pod cień starych kasztanów, ale...

— Ale doprawdy, rzekł Sir Price, niegodzi się przerywać...

— A jeśli siarka dusi? zawołał Zygmunt.

— Położenie w blizkości krateru, dodał rzucając nań wejrzenie z ukosa garbus, ma swe dogodności... gdyby komu z nas życie się uprzykrzyło mógłby je bez wielkich trudności pójść dokonać w łonie otchłani...

— Tak... zapewne, rzekł uśmiechając się Żywski, ale gdyby to koniecznie komu było potrzebném, jak się panu zdaje... wszakże bardzo nie opodal od obserwatorjum, jest owe morze asfaltowe, którego szerokie rozpadliny równie są dogodne dla amatorów...? Kopią w nich lawy, których ogień starczy na usmażenie nie jednego, ale tysiąca ludzi.

— Dziwaczna myśl! roześmiał się Szwed, który w milczeniu słuchał, niegodzi się jéj żartem nawet rzucać. Każdy człowiek ma zbyt wiele do zrobienia na ziemi, by życiem szafował!

— Wotujmy! rzekł po angielsku Sir Price, schodziémy czy zostajemy?

— Schodziémy! zawołały kobiety, przechadzka nocna po księżycu do Obserwatorjum będzie miała wiele powabu, a przyznać potrzeba że tu dusi nieprzyjemnie, Hrabina dokończy historij na dole.

— Jeśli potrafię... cicho odezwała się Adela.

— O! bez żadnych wymówek.

— Więc jak potrafię... poprawiła się hrabina.

Włosi widząc poruszających się od stolika swych gości, domyślili się że schodzić zapragną, w chwili wszystko było do łatwiejszego nierównie spuszczania się gotowém. Krzesła, kosze, stolik pochwycili na ramiona i śmiechy tych pustych dzieci neapolitańskiego nieba, rozległy się na wulkanie. Opuszczali go z widoczną przyjemnością.

Znijście na dół jest igraszką i nie zajmuje ani części czwartéj czasu jakiego wymaga drapanie się na wyżynę. Wielu śmielszych puszcza się przez popioły biegiém i spada jak kula w dolinę.

Zwykle dwóch ludzi podtrzymuje pod ręce i z pędem wichru ściąga ofiarę zdyszaną na dół. Po stroméj płaszczyznie i grubym pokładzie popiołu odbywa się to z niepowstrzymaną szybkością, która się coraz zwiększa i w końcu staje niepowstrzymanym biegiem kuli, ciśniętej siłą nieprzezwyciężoną w powietrze. Przy największéj chęci pohamowania się w biegu, w końcu zatrzymać się już nie podobna, aż w opustoszonéj dolinie u podnoża Sommy, starym zapewne kraterze, który świadczy o wybuchu co Wulkan rozdarł niegdyś na dwoje.

Dla kobiét wszakże urządzono zejście nieco powolniejsze, z większemi ostrożnościami, mężczyzni zaś w większéj części rzucili się na losy, ślepo w tę ciemną przepaść, którą wązki pas bladego światła księżycowego przecinał. Spauer i Sestini ująwszy pod ręce piękną Julję pobiegli z nią przez popioły i hr. Adela powierzyła się dwom Włochom którzy ją znosili na krześle, niewiem pod jakim pozorem hr. Żywski uczepił się z tyłu i szedł w ślad za niemi. Gwar który panował w tłumie przy znijściu nie dozwalał nikomu posłyszeć rozmowy, jaka się w téj chwili półgłosem poczęła.

Hr. Zygmunt idący za Adelą, rzekł z cicha.

— Pani z prawdziwym, z wielkim talentem opisujesz swą przeszłość, ale jako trochę artysta a przynajmniéj dyletant, któż dziś się nim nie nazywa i nie jest? ośmielił bym się uczynić jéj uwagę... zbytek szczegółów szkodzi ogółowi obrazu, zmniejsza wrażenie... a pewne postacie na które rzucono zbyt jaskrawe światło, z tragedij gotowe uczynić karykaturę.

— Alboż w tragedjach niema także poważnych karykatur, to jest poczwar? przerwała hrabina Adela, prawda każe malować je takiemi jakiemi są.

— Niebezpiecznie to czasami do zbytku być prawdziwym! szepnął hrabia.

— Niechodzi mi zresztą o wartość artystyczną powieści, zawołała Adela, a innego niebezpieczeństwa, nierozumiem.

— Nie drażnij pani, nie drażnij, szepnął Żywski zwieszając się nad jéj krzesłem, tak że gorący oddech jego nad swą głową uczuła, obojętne to sprawy dla obcych, obojętne może dla kogoś więcéj jeszcze, ale mimo to... nuż się gdzie... jakieś zgasłe... dzikie namiętności przebudzą? do czego je wskrzeszać.

Hrabina milczała zagryzając usta.

— Przepraszam za te uwagi, dodał hrabia.

— Nie przyjmuję ich, odrzuciła Adela, mówię jak czuję i myślę.

— Wszak ci między mną a panią, niema, niebyło i być nie może żadnego stosunku, szeptał pargaminowy, ale nosiémy jedno nazwisko, jesteśmy dziećmi jednéj ziemi, ludzie są posądzający i złośliwi, któż wié czy się komu nie zamarzy upatrzyć w nas, we mnie jakiéj postaci opowiadania... naprzykład owéj poczwary?

— A jeśli ją upatrzą?

— Może to być nieprzyjemném... któż wié... może niebezpieczném.

— Co za niebezpieczeństwo mogło by grozić? komu? ja się niczego nie obawiam.

— A gdyby ono nie pani, ale komu innemu groziło?

— O! temu to niewierzę, są ludzie którym jedno tylko zagraża, że nigdy poprawić się i upamiętać nie potrafią.

Ta przerywana rozmowa doprowadziła ich do dołu, hrabina parę razy krzyknęła, ale dojechała szczęśliwa w dolinę, gdzie na nią wszyscy już niecierpliwie czekali.

Piérwsza część jéj opowiadania zakończona zapowiedzią zjawienia się postaci, która grać miała stanowczą rolę w dramacie, obudziła ciekawość, ale w dolinie téj smutnéj reszty wieczora i nocy spędzić nie było podobna, taki w niéj chłód wiał i smutek, potrzeba było znowu po nocy przebywać rzekę czarnéj lawy, aby się dostać do pustelni. — Pomimo starań przewodników idących przodem, pozapalanych latarek i troskliwego ich obejścia z podróżnemi, zabrało to więcéj czasu niż we dnie, szczeliny z rozżarzonemi głębiami świeciły straszniéj, a ciemność każdy krok czyniły mniej pewnym i na pozór niebezpieczniejszym. Milczenie przerywane tylko wykrzykami tych pań, panowało w ciągu przeprawy, artyści stawali by podziwiać ów krajobraz Dantijski, pełen surowéj, wielkiéj, uderzającéj piękności, osłoniony ciemnościami nocy w pół przezrocznemi. Księżyc, który się był podniósł do góry, rzucał niekiedy światło blade z pomiędzy białych chmur okrywających niebo, podobnych do wełny świéżo ostrzyżonego runa.

Nareszcie milczący, uśpiony gmach obserwatorjum ze swemi kratami żelaznemi, ukazał się oczom wędrowców, byli już niedaleko pustelni, w któréj anglik jak najwytworniejsze przygotował przyjęcie.

Wszystkie lampki i świece jakie na prędce znaleść było można gorzały w szczupłych pokoikach na dole, a służba z Neapolu kręciła się około wieczerzy dla podróżnych.

Cywilizowany człowiek, któremu ciężko dłużéj wytrwać we cztery oczy z dziką naturą, przywykły do wygódek pieszczonych,

do tegc wszystkiego co wieki przysposobiły dlań, do czego od dzieciństwa się przyuczył, mimowolnie uśmiecha się zawsze na widok tych owoców wieków, które go uwalniają od osobistego zajmowania się sobą i ułatwiają mu życie, wszyscy niemal z wesołością po niewielkich trudach znaleźli się do koła stolika, na kanapach i krzesłach téj pustelni, która dziś wistocie jest gospodą i niesłusznie nosi to nazwanie dawne, przypominające tylko że tu kiedyś stała chata samotna jakiegoś eremity. Jak w Capri, pustelnik tutejszy jest po prostu spekulantem, oberżystą.

— Teraz, rzekł Vice-Hrabia de la Meilleraie, jesteśmy jak w domu i spodziewam się że nam nic nie przeszkodzi, dosłuchać historij hrabinéj, przerwanéj właśnie w miejscu najbardziéj zajmującém... a potem biografij pana hrabiego...

— Moja wcale zajmującą nie będzie... rzekł siadając pargaminowy.

— Więc może byśmy przystąplli do rzeczy... naglił francuz później znowu noc, znużenie, brak czasu, mogło by nas pozbawić najmilszego opowiadania.

— Pan jesteś nielitościwy, szepnęła hrabina Adela.

— Dług jest rzeczą świętą.

— A gdybym się decydowała pójść do Clichy?

— My byśmy wszyscy poszli za nią, kłaniając się odparł grzeczny francuz...

— Ale na czemże stanęliśmy? spytała hrabina.

— Na zjawieniu się poczwary! zawołał garbaty. Następuje jeśli się nie mylę... opis potworu.

— A! potwór mój naówczas gdy się zjawił, powierzchownie przynajmniéj nie był tak straszliwym jakby dla obrazka powieści pożądać można... mówiła z wolna hrabina. Był to mężczyzna bardzo przyzwoity, którego wieku tylko odgadnąć nie było podobna. Miał pozór młodości co nigdy świéżą nie była, twarz bladą, smutną, niekiedy błyskiem okiełznanych namiętności jak ogniem piekielnym rozświeconą. Obejście jego było miłe, grzeczne, pochlebne, ale zimne, umiał zresztą przybierać różne odcienia, grał wybornie nieszczęśliwego, potrzebującego pociechy, duszę czułą i skaleczoną, szlachetnego i pełnego poświęceń bohatéra, rycerza starych romansów i tajemniczą zagadkową postać nowéj powieści.

Na młodéj jak ja istocie mógł by był nawet wielkie uczynić wrażenie, gdyby mnie jakiś instynkt opiekuńczy od razu nie ostrzegł i wstrętem nie napełnił. Miałem odrazę od téj sztucznéj figurynki, któréj wszystkie fałsze dziecinne moja poczuła szczerota.

Poczwara, jak się później przekonałam, była niegdyś kochankiem mojéj Cioci, która ją ściągnęła dla siebie w imie wspomnień szczęśliwych czasów, ale przybyła nie dla niéj, z gotową rachubą że potrafi przez dawną kochankę pozyskać rękę wychowanicy sieroty... nadewszystko bogatéj dziedziczki pięknego imienia.

Zadanie było dosyć trudne, ale Ciocia już nie zbyt młoda, namiętnie rozkochana w poczwarze, a poczwara umiała korzystać z miłości któréj wcale nie podzielała. Cioci zdawało się że potrafi się wydać za dawnego kochanka, wkrótce się jednak przekonała, że utrzymać go inaczéj nie potrafi, jak poświęcając mnie. Rozpoczęły sie trudne, niegodziwe intrygi...

Na chwilę nie byłam złudzoną, widziałam jasno przyszłość, postanowiłam się bronić, alem miała do czynienia z nieprzyjacielem silniejszym nademnie.

Mamże odsłonić nawet najboleśniejszą stronę tych dziejów? Tak jest, abyście mnie zrozumieli i ulitowali się nademną, należy wstyd zrzucić fałszywy i spowiadać się nawet z upokorzeń. Dorastałam gdy dawny kochanek Ciotki zjawił się na zamku, serce moje budzące się w piérsi już nie było wolném, biło ono dla młodego chłopaka towarzysza zabaw dziecinnych, ale niestety, położeniem towarzyskiem oddzielonego odemnie. (d. c. n.)